



ŚWIAT dzieci

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU



W Polance

Między laskiem kolonijnym, a dużym lasem ciągnie się polana. Jeśli pogoda niepewna, albo czasu już nie ma na spacer w głąb lasu, wychodzi się na polankę i każdy robi co chce.

Część chłopców gra w palanta. — Jedni tracą metę w palancie, drudzy zarabiają. Tu są matki, bachory, półmetki, ściery, wykupy, dogrywki; tu krzywe nie idą; tu są tacy co świecą jedną ręką łapią, a inni wołają:

— Nie łap, sparzysz się

Tu piłki giną, pękają — tu ktoś głupi się wkreci, przez niego metę się traci; inny przeszkadza, umyślnie się nadstawi, żeby metę odebrać. — A ci, co metę wzięli do góry, czapki rzucają na wiwat...

Gdzieś na ustroniu wyścigi, berek kucały albo drewniany, a wreszcie latawiec.

Wiatr silny, latawiec dobrze pójdzie w górę — latawiec wielki, z płótna na ramce z deseczek z ogonem na trzy łokcie chyba.

— Pójdzie — nie pójdzie — pójdzie, o idzie — o spada.

— Nie dobry wiat.

Wiatr dobry, ty'ko latawiec nie ma wagi w ogonie. Cztery płócienne czapki przywiązuje się do ogona, żeby miał wagę.

— Teraz pójdzie. — O, idzie. — O, jak idzie równiutko. — Pociągnij za sznurek. — Nie ciągnij.

— O, jaki malutki. — A jaki ogonek. — A czapek już wcale nie widać...

— Chciałbym być taki wysoki, jak ten latawiec.

— Może jeszcze urośniesz, poczekaj.

Tam znów węża robią chłopcy: biorą się za ręce, dwudziestu, trzydziestu — najsilniejsi prowadzą, zakręcają węża; im kto bliżej końca, tym mu trudniej nadążyć, aż cały ogon — z dziesięciu chłopaków — urwie się z rozmachem i poprzewraca.

Tu i ówdzie rozłożyli się na trawie, grają w warcaby i mlynek, a przezorniejsi z góry wymawiają:

— Biję się w tył czy nie biję? Z chucham gramy czy bez chuchów? Tylko wymawiam: podpowiadać ani oszukiwać nie wolno.

Z początku brano książki na polankę, ale raz Achcyk zgubił książkę, gdzie było od

samego początku o dzikich ludziach, a potem o pogrzebie szczura, a dalej już zapomniał co było, bo dalej nie czytał jeszcze. Wydano więc zakaz brania książek do lasu. Ale Achcyk znalazł książkę i jeszcze cudzą czapkę znalazł w procencie, i Wiktor Mały wziął zabawki i książki pod swoją opiekę, więc znów wolno je brać na polankę.

Jakubowski czyta o kuropatwach, o weselu zięby, o jeżu.

— Jeź żywi się pędrakami.

— Widzisz: tobą się żywi, bo ty pędrak.

— Przestań cicho bądź, nie przeszkadzaj.

Ale najgorzej, jak który przy bajkach przeszkadza...

W Michałowce najpiękniejsze bajki opowiadał Najmajster w Wilhelmówce Kaza. Nie znaczy to, by i inni nie umieli opowiadać; ale albo nie tak ciekawie, albo nie tyle, albo nie takie długie.

— Więc słuchajcie.

Zaczyna słuchać zwykle niewielu; ale coraz to ktoś przystanie, potem przykłęknie, potem usiądzie — i powiększa się grono słuchaczy.

— Nie pchajcie się, bo mówić nie można.

Czasem zbliży się ktoś w połowie bajki, ale zna początek lub się domyśli; albo nie może się już połapać i zasmucony odchodzi; albo na następną czeka, nudzi się tymczasem i słuchać innym nie daje.

Czasem biegnie ktoś z ważną nowiną, widzi, że bajka, milknie i szybko odchodzi.

— „Więc królowna idzie... idzie... idzie przez las, ale tak jej się chce pić, że już nie wiem. Ale patrzy, a tu rzeczka, taki strumyk przepływa. A to naumyślnie tak zrobił ten czarnoksiężnik, co wtedy z diabłem grał w kości.

— O, patrzcie, jaki robaczek.

— Gdzie robaczek?

— Cicho tam z tym robaczkiem znowu. Nie chcecie słuchać, to sobie idźcie.

— „Więc królowna nic nie wiedziała i napila się wody i od razu zrobiła się cała czarna. Ale nic idzie... idzie. Ale patrzy na ręce: czarne, — patrzy na nogi: także czarne, — zupełnie jak z atramentu“...

— Te, przestaniesz się piaskiem sypać?

— To ty dłączego mi w ucho słomę kładziesz?

— Żebyś myślał, że ci mucha chodzi po uchu i żebyś się podrapał.

— Przestańciez tam.

I znów w najciekawszym miejscu, gdzie rycerz z nadludzkim wysiłkiem odczarował już królownę do szyi, bo głowa jest najtrudniejsza — znów ktoś dziurawy listek znajdzie albo zdechłego chrabąszcza, albo

zauważy kurczakę na ręce sąsiada. I znów:

— Przestańciez tam — idźcie sobie,

Ten i ów w kark nawet dostanie, gdy mocno już znecierpliwli słuchaczy.

„A królowna z lwem wsiadła do ostatniej karety i jadą. — Jak goście w pałacu zobaczyli, że królowna z lwem w karecie. okropnie się przestraszyli“.

Bajka dobiega do końca, który głosi:

„I ja tam byłem, miód i wino piłem; po brodzie kapąło, a w gębie nie zostało“...

— Dwie dziurki w nosie i skończyło się — mówi ktoś wygrzebując się z trudem, kulejąc, bo sobie nogę odsiedział

A pozostali, nienasycony, proszą:

— Powiedz jeszcze. Jak jesteś zmęczony, to powiedz jaką krótką

— O Snieżce znacie?

— Ja znam, ale nie szkodzi.

— To się nie o „Snieżce“ nazywa, a o Czarnobrewce.

— Kiedyś taki mądry, to sam opowiadał.

Najgorzej opowiadać bajkę, jeśli ją zna ktoś jeszcze. Ty mówisz „smok miał dziewięć głów“ — a on: „nieprawda“ bo dwaście“

— Nieprawda, bo dziewięć, bo tak pan opowiadał w Psarach...

Ty mówisz, że włożyli królownę do srebrnej trumny, a on: „a widzisz, że nie, bo do złotej. — Właśnie, że do srebrnej, tylko ze złotym okuciem. Możesz ty słyszał inaczej.

I niecierpliwą się już słuchacze:

— Jak znasz, to idź sobie i nie słuchaj.

Ale niechce odejść, bo nie może przecie pozwolić, żeby bliźnich w błąd wprowadzano...

Najlepiej opowiadać zupełnie nową bajkę.

— Położyli królownę do trumny.

— Pewnie ze szczerego złota? — domyśla się któryś. Jeśli mu się powie, że ze srebra, nie klóci się, wierzy.

I płynie bajka po bajce — o królownie, co wyszła za mąż za raka, o księdzu i o chłopie, o diable, o zbrojach, o głupim, oki-ju samobójcu, o smoku.

Najciekawsze są bajki o smokach, a najładniejszą bajkę o smoku zna Kaza; opowiadała ją pani, która mieszka razem z rodzicami Kazy — bajka ta w książce dwadzieścia kart miała. — Bo też to i smok: „słysz na sto mil, a węch ma na tysiąc mil, a siłę taką ma, że mógłby świat rozrzuć i nawet się tygrysa nie boi“.

— Ola Boga — woła któryś, niby że się przeląkł.

— Idź, widzisz, jaki ty jesteś.

(dalszy ciąg na str. 3-ej)

Zofia Kwiecińska

Szkolna

Z tym Wojtkiem zawsze było kłopotu co niemiara. Jak taki mamin synek, to po co wybrał się na wycieczkę? A wycieczka to była nie taka sobie zwyczajna do lasu, ale prawdziwa, na parę dni w Pieniny.

Wzięli z sobą namioty, żywność, mapki i kompas, nawet menażki, żeby można było samym na miejscu gotować. Prowadził wycieczkę pan od geografii. Ale pan był taki młody i wesoły i na wycieczce taki inny, niż w klasie, że czasami zdawało się, że to nie nauczyciel, lecz starszy dobry kolega.

Noce spędzali w namiotach, które z wielkim zapalem rozbijali. Przed namiotami płonęło ognisko i pan opowiadał. Właściwie mówił prawie to samo co na lekcji, a e tu było znacznie przyjemniej i, co najważniejsze, tu nie można było dwójki oberwać, nie można było być zapisanym do dziennika (bo i dziennika nie było), spali na gałęziach jedliny lub na sianie. Bardzo było przyjemnie. Raz ich w drodze spotkała burza. Taka straszna burza, gorsza niż w mieście. Grzmot jeden walił za drugim i zdawało się, że po zachmurzonym niebie przewalają ciężkie kamienie. Pan wtedy krzychał:

— Nie chować się pod drzewa! Nie rozbiegać się! Iść spokojnie.

A deszcz lał jak z cebra. Potem do wieczora musieli suszyć się przy ognisku.

Wszyscy się śmieją i żartują, a Wojtek nos zwiesił, bo mu się ubranie zemnie.

Raz znów weszli we mgłę taką, że o krok nie widać nie było. Białe i białe, jakby kto mleko w powietrzu rozlał. Wojtek zaczyna narzekać, że zabłądzą, że już nigdy do domu nie wrócą, aż się pan rozgniewał i powiedział, że jeżeli się nie uspokoi, to odeśle go pociągiem do domu, bo mazgai na wycieczce nie potrzebuje.

Taki już był ten Wojtek. To go słońce piecze, to mu zimno, to nogi bolą, to pić się chce.

— Uważaj, żeby ci włosy nie spuchły — kpi Franek.

— Wszystkim gorąco, ale narzekasz tylko ty jeden. Popatrz lepiej wokoło, zaraz ci będzie i przyjemniej i weselej.

A ładnie tu było rzeczywiście. Wkoło zielone góry pokryte lasem gęstym, z którego gdzieś widać małe skały wyglądają. A w lasach tych polany. Szerokie, słoneczne. Faliste na nich trawa, bieleją wielkie rumianki, pełno jakichś kwiatów, których nigdy w mieście nie widzieli nawet. A wkoło buki rosną.

Powoli Wojtek przyzwyczaił się i do długich marszów i do spania na twardym posłaniu i do upału, i do tego, że nie zawsze jest woda, kiedy się chce pić. Do jednego tylko nie mógł się przyzwyczaić — do wczesnego wstawania. Pobudka już dawno była, już wszyscy się ubrali, już umyli się w strumieniu, a ten jeszcze śpi sobie w najlepsze i na drugi bok się przewraca. Nieraz zdarzało się, że dopiero przy zwijaniu namiotu spędzali śpioczą z posłania.

A pewnego razu (nocowali właśnie kolo Krościenka) i na drugi dzień raniutko mieli jechać kódkami przez Przełom Dunajca. Wszyscy byli podnieceni. Długo wieczorem mimo zmęczenia przewracali się po swoich posłaniach i długo marzyli o tej jutrzejszej wyprawie. I już dobrze po północy, gdy w



namiocie cicho było jakby makiem zasiał Franek nagle odezwał się zupełnie trzęwym nie zasnym głosem.

— Proszę pana, a jeżeli jutro będzie deszcz to co?

— To będzie mokro — odpowiedział pan. — Spij i innym nie przeszkadzaj.

Wstali raniutko. Szarzało dopiero. Mgła była taka gęsta, że niektórzy wpadli w rozpacz:

— No i pogoda się zepsuła.

— My zawsze mamy takiego pecha.

Ale pan wytłumaczył, że w górach zawsze rano jest mgła i że wroży ona słoneczny dzień.

Słońce wstawało powoli i ranny wiaterek przewalał złociste różowe kłęby.

— Obiecacie mi, że będziecie siedzieli spokojnie i nigdzie nie odejdziecie od namiotu, to pójde umówię się z przewoźnikami, żeby nas nikt nie wyprzedził.

Dali uroczyste słowo honoru i pan odszedł spokojnie. Wierzył swoim chłopcom i wiedział, że wprawdzie bardzo lubią kawały, ale jeżeli obiecują coś to dotrzymają świącie.

Chłopcy siedzieli przed namiotem patrząc jak powoli z mgły wylania się Dunajec. Było to tak dziwnie, jakby we mgle rozblęły drobne iskiarki. Potem tych iskierek było coraz więcej aż wyloniła się cała szumiąca i spieniona rzeka.

— A gdzie to nasz Wojtek? — spytał nagle Kazik.

— Gdzieżby? Spi w namiocie.

— Wiecie co? — ożywił się nagle Antek — Mam świetny pomysł. Napiszemy kartkę,

wycieczka

żeśmy się go nie mogli dobudzić i pojechaliśmy bez niego. Niech siedzi i pilnuje namiotu.

Wystarczyło tylko rzucić myśl. Opodal były gęste zarośla, w których doskonale można się było schować i z których widać było cały namiot jak na dłoni. W mgnieniu oka przygotowali wszystko. Napisali wielkimi literami kartkę i przypięli do namiotu. Na pieńku pozostawili kubek z wodą i kawałek chleba, niby na śniadanie dla Wojtka.

„Przepraszamy cię bardzo za skromne śniadanie, ale my jeść będziemy w drodze“ napisali. Teraz chodziło tylko o to, żeby Wojtka zbudzić. Ale i na to znalazł radę pomyslowy Franek. Przywiązał do ścianki namiotu długi sznur i szarpał nim ze swojej kryjówki. Chłopcy zapanowali dech w piersiach. Namiot kołysał się jak na silnym wietrze. Gdy i to nie pomogło zaczęli weń rzucać szyszkami. Po pewnym czasie we drzwiach ukazał się zasnany i rozkudłany Wojtek. Przecierał chwilę oczy i ziewał, potem rozejrzał się zaniepokojony niezwykłą ciszą. Nagle drgnął, wspiął się na palce zerwał kartkę i długo ją czytał. Minę miał przy tym taką jakby się za chwilę miał rozplakać. Nie rozplakał się jednak, tylko zwinął ręce w trabkę i zaczął krzyczeć na cały głos.

— Hop, hop! Poczekajcie na mnie! Nie zostawiajcie mnie samego!

Chłopcy dusili się ze śmiechu. Ale gdy Wojtek krzychał coraz głośniejszym głosem, wszystkim zrobiło się jakoś nieswojo.

— Możeby dosyć było tej zabawy? — odezwał się sam projektodawca Franek.

— Daliśmy mu nauczkę, ale już dosyć. Po co mu psuć taki ładny dzień.

Z krzykiem i śmiechem wyskoczyli z zarośli.

— Aleś się prędko rozbudził — śmiał się Kazik.

— Pamiętaj, dzisiaj to tylko na żarty, ale na drugi raz naprawdę cię zostawimy. Albo wysypiaj się, albo chodź na wycieczki, jedno z dwojga — wygłosił Antek.

A Wojtek taki był uradowany, że nawet się nie gniewał na kolegów. Ale widocznie myślał o czymś, bo cały ranek był bardzo małowymny, a potem gdy po wąskiej ścieżynce pieli się w górę, podszedł do Kazika, który był najstarszy w całej gromadzie i powiedział:

— Daj pomocę ci nieść plecak. Mój jest lżejszy. Nie myśl, że jestem takim ciamajdą.

I od tego czasu Wojtek ani razu nie zasnął. I przestał narzekać, że nogi bolą, przestał kręcić nosem na przydymioną zupę. Jakby go kto odmienił.

A pod koniec wycieczki był taki wesoły, tak dzielnie maszerował, że pan powiedział uśmiechając się (ale powiedział to tylko do Wojtka, żeby nikt inny nie słyszał).

— Przyznaj, się żeś ty chyba najwięcej na tej wycieczce skorzystał. Przestałeś być ciamajdą. Wracasz do domu dzielnym zdrowym chłopakiem. Czy nie mam racji?

Wojtek tylko kiwnął głową i dopiero po chwili zapytał:

— A czy pan mnie weźmie jeszcze na jakąś wycieczkę? Bo ja bym chciał tak zupełnie przestać być — przestać być — i, czerwieniąc się aż po czuprynę, wyjąkał — maminym synkiem.

Stanisław Wyspiański

Wierszyk wakacyjny

I cóż kochany Panie Leonie
czy byłeś Pan już w lesie?
czyś widział, jak się pasą konie?
słyszałeś, jak gęś drze się?

Po stawie jak pływają kaczkę,
i zboże jak chwieje się,
modre bławaty, krasne maczki,
puch jak się z wichrem niesie?

Czyliś oddychał już jedliną,
pod sosną czyliś dumiał,
czyliś zapoznał się z gadziną,
z wierzbą się pokumał?

Czyś widział pawia na ogrodzie,
pod chatą dzieci płowe?
Czyś pochylony stał ku wodzie
na fale patrząc nowe?

A gdyś to wszystko już przeczytał,
gdyś wszystko już zrozumiał,
to rozważ, żem Cię listem witał,
jak myślę, jakem umiał

Na fale patrząc, jak kołują,
gdy wodne muchy kroczą?
jak żaby na Cię nawołują,
stąpisz — a w topiel skoczą?

Czyś dopadł gdzie, jak sroka skrzeczy,
w oborze bydło ryczy?
czyś znalazł wszystkich kopę rzeczy,
które mieć dusza życzy?

Czyliś odnalazł w leśnej głuszy
tych świerków kilkunastu,
ten czar, co Po'lskę budzi w duszy?
czy tęsknisz już ku miastu?

Czyli, gdyś w lesie legł na krzakach,
czy ścieżką kiedyś chodził?
czyś poznał Elfy po ich śpiewach?
Bóg leśny czy Cię zwodził?

Na polance

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Bo Kaza może się obrazić, że kąpią z jego bajki i nie chceć dalej opowiadać. — A mały kapitan Sulejewski mówi z westchnieniem:

— Ja jeszcze nigdy smoka nie widziałem...

Paluszek umie dwie bajki, o baranku, co jak mu się powie: baranku, trząchnij się — to będzie zaraz cały pokój pieniędzy — i o żołnierzu, i babie.

— Dziadziu, jakie ty masz długie nogi — mówi baba.

— Bom zrobić kawał drogi — mówi dziad.

— Dziadziu, jakie ty masz długie ręce...

— A bo byłem na wojence.

Takie umie bajki Paluszek, który równo-uprawnienia kobietom dać nie chciał...

Panowie znów, jak im się chce, ładno bajki opowiadają: a jak nie, to tylko tak, aby zbyć

— Niech pan opowie, jaki pan niedobry; my się tak dobrze sprawujemy. Niech pan powie.

I już się zdaje, że przekonali pana, bo pan myśli, a tu nagle powiada:

— Opowiem wam straszną historię o Boćku-nudziarzu który zawsze wiedział z góry, co będzie na obiad, i o Tomku Gala sie, któremu śmieci nakładli do zupy.

Pewnego razu był Bociek, wielki, ale to wielki...

— Pan pewnie powie: cymbał — zgaduje już Boćkiewicz.

W ogóle panowie okazują bajkom niezastuzone lekceważenie. Na przykład w najciekawszym miejscu trąbka wzywa na obiad i chłopcy się spóźniają.

— Gdzieście byli? — krzyczy pan, taki zły, ze strach.

— Słuchaliśmy bajki.

— Obiad ważniejszy od bajek — krzyczy pan. — Obiad jest bardzo ważny — krzyczy pan. — Tak, zapewne, bajki są bardzo ważne, ale i obiad jest ważny — mówi pan. — Może bajki są ważniejsze od obiadu, ale nie można się przecież spóźniać na obiad — kończy pan.

— No chyba, że bajki są ważniejsze.

JANUSZ KORCZAK

(Wyjątek z książki pt. „Na koloniach letnich”)



ci — kaczkom telepiącym się w błocie. Mniej więcej to samo czynili na gościńcu Roman i Wojtek. Podwinawszy wysoko spodnie, rozchlapywali kałuże bosymi nogami. Bardzo żalowałem w tej chwili, że moja godność wielkiego hetmana koronnego nie pozwala towarzyszyć szeregowcom w tej rozkosznej zabawie. Zresztą, prawdopodobnie i ciocia byłaby jej przeciwna.

Spojrzałem na wodza Bawolich Rogów. Byłbym przysięgi, że i on chętnie pobrodziłby bocianią modą po rowach przydrożnych.

Ale i jemu też nie wypadalo.

Jakoś jednak trzeba wykorzystać tę burzę, Romek i Wojtek mogą, kaczki mogą... A my nie?...

BENEDYKT HERTZ

KRZYSIA I JANEK
na wakacjach

Choć paliła nas ciekawość, ile jest prawdy w opowiadaniu Wawrzkowej (którą wuj nazywał starą wariatką), tak się wstydziliśmy naszej tchórzliwej ucieczki, że Janek przestał mówić o wyprawach na Szwedzką Górę. Zdawało się nawet, iż zapomniał o swej godności wodza plemienia Bawolego Rogu i wcale nie wzywał wojowników na mustę.

To i lepiej. Bo dyscyplina w armii bardzo osłabła — jak zresztą zawsze bywa, gdy żołnierze tracą wiarę w odwagę generalicji.

Dlatego też Janek dość chętnie zamienił flower na polewaczkę, gdy ciocia zaprzęgała nas do pracy w ogrodzie. Musiała to uczynić, bo przez dwa tygodnie straszne mieliśmy upały bez kropli deszczu. Cały ogród zdawał się wołać: „pić, pić, ratunku! Kto żył dygował kubły wody ze studni: i Mateusz i Andzia, i stara Walentowa, i wszyscy nasi żołnierze... Nie mogliśmy więc i my próżnować.

Z początku bawiła nas ta robota; ale po paru dniach zaczęła dokuczać. To nie żarty, moi drodzy, dźwigać pełne konewki w taką spiekotę. A tu jeszcze wolała, żeby się spieszyć, bo mało czasu.

Ucieszyliśmy się więc wszyscy, gdy pewnego dnia ciocia powiedziało: „No, chwala Bogu, chmurzy się!”

I rzeczywiście zaczęły na niebie obłoki gęstnieć ciemnieć i zbierać się w coraz większej masie. Wkrótce przyleciał wiatr i trzasnął uchyloną furtką ogodu. Andzia śpiesznie pozamykała okna i zaraz odezwał się daleki grzmot — jeden, potem drugi, trzeci bliżej... Lunęło. Przyglądaliśmy się ulewie z zadowoleniem, że nic nam zrobić nie może. A Walentowa coraz to przy innym oknie powtarzała:

— Oj dobrze, oj dobrze! Niechby tak ze trzy dni popadało. Zaraz wszystko inaczej pójdzie.

— Przecież możemy zabawić się w pop-top, albo w powodzian.

— Ale skąd wziąć korab?

— Hm, ja mam piłę — pośpieszyłem się pochwalić.

— Il dużo tam twoja piła pomoże... Potrzeba gwoździ, kleju, siekiery no i desek...

— Przede wszystkim trzeba umieć — zauważyła Krzysia — a wy nie macie pojęcia o robieniu łódek.

Po naradzie wybraliśmy się wszyscy troje do młynarza, czy by nam nie pożyczyl swojej łódeczki. Miał niebieskie, prawie wyblakłe oczy, które dziwnie odbijały od twarzy brązowej, posiekanej drobnymi zmarszczkami. Dlatego baliśmy się trochę starego. Usłyszawszy naszą prośbę wyjął z ust fajkę i powiada: Nie dam.

— Dlaczego?

— Bo w łódce gęś na jajach siedzi.

— Można by gęś przenieść gdzie indziej...

— Nie! Sama sobie miejsce wybrała. Nie ruszę jej. Mogę najwyżej pożyczyc korytko po wieprzku, bom go sprzedał.

(Dalszy ciąg nastąpi)



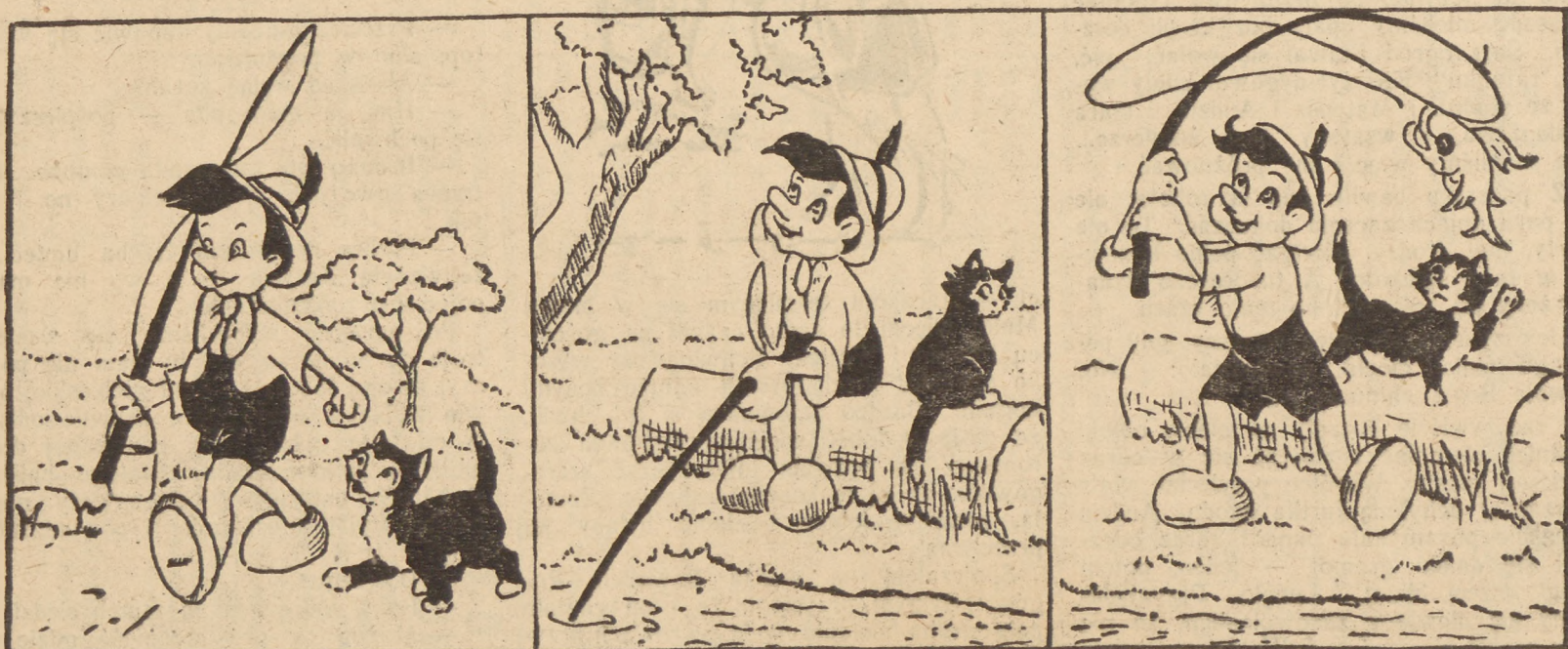
Płynie, płynie
morze w dal,
a na morzu
tysiąc fal.
Czynią one
wieczny szum,
o brzeg biją:
plum, plum, plum..
Piękne fale,
kto ma chęć,
dojrzy w nich
kolorów pięć.
Na wybrzeżu
złoty piach,
biega po nim
Jaś i Stach.
Muszla tutaj,
muszla tam.
— Ja mam cztery!
— Ja sześć mam!
— Stachu, mam tu
rybkę też.

zrobmy stawek,
jeśli chcesz. —
Na wybrzeżu
złoty piach,
używają
Jaś i Stach.
— Stachu, patrz
rybacka sieć!
Bywał w niej
niejeden śledź,
a tu obok
stoi łódź,
jeszcze ją
rybami czuć.
Jakby dla nas
w piachu tkwi,
popłyniemy:
ja i ty.
— Sliczna łódka
żagiel ma,
kapitanem
będę ja.

Ale, że tu
jest tu dwóch,
tyś pomocnik
mój i druh,
zepchnij tylko
łódkę w dół,
przeplniemy
morza pól.
— Kapitanie
wierzyć chciej,
nie poruszę,
łódki tej! —
Na wybrzeżu
złoty piach,
bawią się tam
Jaś i Stach.
Wokół morze
czyni szum,
o brzeg bije:
plum, plum, plum...

LUCYNA KRZEMIENIECKA

Przygody Janka rybaka



Napiszcie do tych obrazków opowiadanie. Najładniejsze wyarukujemy
w naszej gazecie